

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Rodzina generała Bema

O pochodzeniu generała Bema do niedawna jeszcze szczupłe stosunkowo mieliśmy wiadomości. Zainteresowanie tą kwestią obudziło się dopiero w początkach bieżącego wieku, — a podstawowym materiałem genealogicznym stało się wydane w roku 1925 przez Ossolineum dzieło „Generał Józef Bem”, którego autorem był Włodzimierz Bem de Cosban.

Daty zawarte w tem dziele przejęte zostały przez Galicza w jego monografii o generale, — oraz przez Encyklopedię „Ultima Thule”.

Wedle wspomnianego na wstępie dzieła rodzina gen. Bema wywodzi się ze szlachty pomorskiej, której jedna gałąź przyjęła w wieku XV. patrycjat gdański, zaś w wieku XVI. otrzymała hrabstwo polski.

Z tej to rodziny pochodził Jan Bem, namiestnik polskiej husarii, który zginał pod Beresteczkiem w roku 1651. Syn tegoż, Fryderyk Waclaw, zawarł kondukt, poślubił kuzynkę swą, hr. de Thamasi - Cosban, właścicielkę zamku i dużego majątku na Węgrzech.

Fryderyk Waclaw hr. Bem de Cosban pozostawił syna Jakóba, ożenionego z hr. Esterhazy. Synem tego ostatniego był Józef, łowczy inflancki, protoplasta rodziny Bemów w Polsce. Poza tem miał Fryderyk Waclaw syna z drugiego małżeństwa, imieniem Chrystjana, który sprzeniewierzwszy się ślubom zakonnym zbłądził do Lwowa i tam uzyskał później obywatelstwo miejskie.

Synem Chrystjana był Adalbert, ławnik lwowski, ożeniony z Joanną Venino, córką patrycjusza lwowskiego. Tenże Adalbert zaadoptował niesłubnego syna wspomnianego wyżej Józefa Bema, łowczego inflanckiego, — Andrzeja. W zamian za to Józef Bem zobowiązał się, że mu dopomoże w restytuowaniu szlachectwa, które zostało „zaniedbane” przez Chrystjana Bema, co też faktycznie nastąpiło w roku 1803.

Generał Bem był właśnie synem owego Andrzeja, adwokata w Tarnowie i Krakowie, ożenionego z Agnieszką Gołuchowską.

Genealogię powyższą prostuje w zasadniczych punktach Zygmunt Lasocki w wydanej świeżo broszurze „Rodzina generała Bema” (odbitka z „Miesięcznika Heraldycznego”, rok 13 nr. 7--8).

Na wstępie zwraca on uwagę, że nazwisko Böhm — rozmaitej pisowni: Boem, Behm, Behem Bem itp. — było bardzo pospolite we wszystkich krajach sąsiadujących z Czechami. Mieszczanie niemieccy nadawali tę nazwę wielu przybyłym z Czech, a w Polsce niemal w każdym większym mieście można je było spotkać. Rodziny Behmów nie były ze sobą spokrewnione, a łączyło je tylko wspólne pochodzenie z Czech i nazwisko nadawane im z racji tego właśnie pochodzenia.

Czy rodzina generała pochodziła z tego samego pnia, co hrabiowie Bem de Cosban, — niepodobna dziś stwierdzić z całą pewnością dla braku drzewa genealogicznego. Istniejące zaś w tym kierunku dokumenty określa Lasocki jako „jaskrawe falsyfikaty”.

W pracy swej opiera się Lasocki na aktach miejskich m. Lwowa. Pierwszą wzmiankę o Bemach spotykamy w roku 1709, kiedy to otrzymuje obywatelstwo lwowskie siodlarz, Chrystjan Behm, syn sławnego Kacpra Behma, mieszczanina ze Świdnicy na Śląsku.

Tenże Chrystjan zaślubia w następnym roku Małgorzatę Essównę (czy Hiesównę, jak zapisano w metryce ślubów katedry lwowskiej).

Umierając pozostawia córkę Teresę oraz trzech synów Wojciecha, Ignacego i Wawrzyńca. Ten ostatni wstąpił do klasztoru Karmelitów we Lwowie, podczas gdy Ignacy, był tak jak i ojciec, majstrem siodlarskim i ławnikiem miejskim.

Najstarszy Wojciech, rajca miejski, konsyljarz i aptekarz Jego królewskiej Mości, poślubił Joannę Venino, z którą miał siedmioro dzieci: 4 córki oraz trzech synów: Jana, Jakóba i Andrzeja.

Lasocki przeczy stanowcza, jakoby

ten ostatni był niesłubnym dzieckiem określając odnośną zapiskę w księdze chrztów katedry lwowskiej, jako oczywisty falsyfikat z nowszych już czasów.

O Janie niema żadnych ciekawych danych. Drugi z rzędu, Jakób był osobistością wybitną: najpierw kanonikiem katedralnym lwowskim, następnie opatem żółkiewskim, prepozytem kapituły lwowskiej i członkiem stanów galicyjskich. Pozostawił duży majątek, zapisując znaczne sumy na rzecz swej rodziny i na cele społeczne i humanitarne.

Najmłodszy wreszcie, Andrzej, przynosi się ze Lwowa do Tarnowa, gdzie też przychodzi na świat i zostaje ochrzczony dnia 14 marca 1794 synem jego, Zachariasz Józef, późniejszy generał.

Jak z powyższego wynika, był generał Bem potomkiem starej mieszczańskiej rodziny, której członkowie zajmowali w drugiej połowie ośmnastego wieku wcale wybitne stanowiska we Lwowie.

Pozostawał aby jeszcze do wyjaśnienia kwestja restytuowania Andrzeja Bema i jego braci do stanu szlacheckiego, łączona w dawniejszych monografiach z nazwiskiem Józefa Bema de

Cosban „protoplasty rodziny Bemów de Cosban w Polsce.

Faktem jest, że w roku 1801 wzmiankowany powyżej kanonik ks. Jakób Bem wniósł imieniem własnem i obu swych braci prośbę do cesar. kancelarii nadwornej o przywrócenie ich do stanu szlacheckiego i prośba ta została przychylnie załatwiona.

Do prośby tej dołączone było poświadczenie byłego radcy apelacji Wn centego Bem de Cosban, syna właśnie owego Józefa, łowczego inflanckiego, — poświadczenie, stwierdzające, że syplikanci pochodzą z tej samej co i on szlacheckiej rodziny.

Czy tak było rzeczywiście, czy też poświadczenie to wystawił im tylko z grzeczności, dla ułatwienia im uzyskania szlachectwa, — tego dziś stwierdzić nie można.

W każdym jednak razie drzewo genealogiczne, zestawione przez Lasockiego na podstawie stojącego mu do dyspozycji, autentycznego materiału, każe nam bardzo krytycznie odnosić się do monografii o generale Bemie, napisanej przez Włodzimierza Bema de Cosban, oraz do dalszych prac, na tym właśnie materiale opartych.

(kr.).

„Człowiek w obliczu gór”

Rozgorzała w całej Polsce walka o rzecz, zdawałoby się nieistotną, błąka niemal w stosunku do tysiąca innych bar dziej pięknych zagadnień. Poprostu o budowę kolejki na Łomnicę.

Spisano już na ten temat stopy papierów, wysuwano setki argumentów za i przeciw, posypały się protesty, podpisane przez dziesiątki stowarzyszeń naukowych, kulturalnych, i sportowych.

Ostatnio zabrał w tej sprawie głos Michał Pawlikowski, w wydanej świeżo broszurze „Człowiek w obliczu gór”, występując energicznie w obronie nie naruszalnego piękna i majestatu przyrody, wystawionej na bezwzględne, brutalne ataki „filisterskiej kultury”.

Autor przechodzi pokrótce poszczególne etapy zainteresowania się człowiekiem przyrodą górską, która przez długi czas wywodziła u niego uczucie grozy, lęku i własnej nicości. „Generalny wymarsz w góry” rozpoczął się dopiero w wieku dziewiętnastym. Wkrótce już jednak „wymarsz” ten przerodził się we formalny „atak”, pod hasłem.

„W góry w góry, młoty bracie,
tam swoboda czeka na ciebie”.

Ową swobodę „rozumiano w ten sposób, że

„Każdy mógł tam dokazywać jak chce i nie odpowiadał na przyrodzie, nie szanując swego otoczenia”.

Wkrótce też podniosła się reakcja wyższej kultury w idei ochrony przyrody.

Oto, co pisał Jan Gwałbert Pawlikowski w r. 1913:

Zywa siłą kultury stanowią ludzie, którzy przynoszą ludzkości nowe idee. Ale kiedy idea się przyjmie, rzuca się na nią tłum podlutków. Idea ukochania przyrody, wyniesiona na targowisko jako moda, została wprowadzona w życie pod dwoma hasłami: upiększania i uprzystępniania przyrody. Niewątpliwie w przyrodzie nieprawdopodobnie byłoby do upiększenia, choćby drogą przywrócenia do dawnego stanu. Ale tego było najczulszej burżuazyjnym prototem za mało. Powstawały więc sztuczne skały i groty, poetyczne nazwy i poetyczne napisy, altany i wieże widokowe. A gdzie było miejsce dla człowieka, mógł sobie pozwolić na szczególnie subtelne odczuwanie przyrody, tam umieszczano po lesie pośród paproci gnomki terakowe, na skałach stawiano blaszane koziołki, lub budowano świątynie. Odyna albo Walpurgishalla. Podobnym losom uległo uprzystępnianie dzikiej przyrody. Ludzie przejeżdżali jej pięknosć chcieli się nią z drugiej podzielić. Poczuli ułatwiać do niej dostęp, robiąc ścieżki, budując schroniska. Pojętne podlutki zrozumiały, że dzika natura musi być piękna, bo tak chce duch czasu. Ale to człowiek współczesny potrzebuje komfortu, schronienia, zamieszkania się w hotelu, czemu przemysł gospodni — szynkarski przyszedł z ochotą pomocą. Jest to przecie w interesie wyższej kultury, jeśli umiłowano dziką przyrodę, stała się nowym źródłem bogactwa krajowego, którego reprezentantami są panowie hotelarze. Ścieżki — patrzono w poręce i drogowskazy, drogi zamieniono w gościńce, a wreszcie sztuka inżynierska doznała dzieła herculejskiego, zburzając szczyty górskie przez wprowadzenie na nie kolei żelaznej.

Oto, co zrobiono z owych źródeł zdro-

wia i siły, z miejsc, w których miała harlować się wola, z samotni, w których duch miał powracać sam w siebie dla odnalezienia siebie samego... Najpiękniejsze góry świata, znieprawione filisterską kulturą, stały się bezwartościową kupą gruzów.

Identyczne niemal stanowisko zajął w piętnaście lat później znakomity alpinista niemiecki, Gwido Lammer:

„Pradziadkowie nasi” — pisze Lammer — „omijali lekko pustynię wysokogórską. Dlaczego? Jak ich prawnik ciągnął do niej coraz to liczniejszą gromadą? Tyśiącznych rzeczy szukają ci i owi turyści w górach, jednego jednak szukają wszyscy i przede wszystkim: uczucia kontrastu z cywilizacją nielenną, tego czegoś zupełnie różnego, owej pierwotności nieokaleczonej przez człowieka i pożytkowość człowieka. Któż jest tak dziecinny lub takim parweniuszem, by czuł niezmaczone zadowolenie, gdy człowiek swoją techniką i maszyną przyrodę ujarzmił i znieprawiał? Któż jest tak gruboskórny, aby nie czuł dreszczów zachwytu wobec niezastąpionej niezem piękności takiej właśnie nieokaleczonej, nieznikniętej przyrody górskiej?.. My dzisiejsi nie mamy prawa tego, wierzącego nam klejnotu niszczyć, w którym go nienaruszonym przetrwać możemy potomkom. Tam w górze niema miejsca dla jakiegokolwiek dzieła ręki ludzkiej, kolczyków, drąg, mostków, drabin, stałych lin, łańcuchów, dźwigni, kul, chłost, jakiegokolwiek drzewoskazy, tablic, napisów, jakiegokolwiek gospód czy schronisk, koleb, albo szlacheckich grobów. Jakiegokolwiek kapłanek, figur lub krzyży, chorągwi, gościńców państwowych, znaków granicznych, jakiegokolwiek pomnika lub tablic dla ofiar nieszczęśliwych wypadków. Żadnej rośliny nie wolno zrywać,

Czy węże naprawdę „fascynują” wzrokiem?

Kto czytał „Pierwszą księgę dżungli” przypomniał sobie efektowną scenę pośrodku zwałisk prastarego pałacu królewskiego. Pantera Bagheera i niedźwiedź Baloo wezwały pytona skalnego Kaa na pomoc przeciw małpom, które tam uprowadziły ich ukochanego człowieczka. Walkę rozstrzyga pojawienie się olbrzymiego węża, który zostaje z małpami, aby „zatańczyć taniec głodu”.

Zatoczył parę wielkich kregów, poruszając głową na prawo i na lewo, jak wahadłem. Potem jął skręcać swe ciało w pierścienie i ćsemki, splatać zeń trójkąty, kwadraty, w pięciokąty, w ruchome pagórki, wijąc się bez przerwy i pośpiechu, z bezustannym głuchym brzęczeniem piosenki...

„Bandar Logu — gdzie się wreszcie słyszeć głos węża, — Czy możecie poruszyć ręką lub nogą bez mego rozkazu? Odpowiadajcie!”

— Bez twego rozkazu, Kaa, nie możemy poruszyć ręką, ani nogą.

— Dobrze. Zbliźcie się nieco do mnie. Szeregi małp bez oporu zakolysały się naprzód...

„Bliźej! — syknął Kaa. I znowu poruszyli się wszyscy.

Wszyscy — mówi Kipling — bo magnetyzmowi węża uległo także dwoje zwierząt, z którymi przybył pantera i niedźwiedź. Nie uległ tylko Mowgli i dopiero, gdy on zarzucił na nie ręce i zaczął je odciągać, były zdolne odejść w dżunglę.

A więc Kipling 1) przypisuje fascynację nie oczom, lecz ruchom węża; 2) stwierdza jej działanie na wszystkie zwierzęta; 3) przeczy, jakoby ulegał jej człowiek.

Nie znając się na życiu i obyczajach zwierząt, a biorąc za punkt wyjścia jedynie analizę literacką, przyjmowałem zawsze z pewną dozą niedowierzania wstęp do „Pierwszej księgi dżungli”, w którym autor powoływał się na swoją obserwację i na opowiadania, usłyszane od ludzi gruntownie obznajomionych ze zwierzętami. Kładł tym sposobem nacisk na psychologię zwierzęcą swych nowel, a zupełnie przemilczał częsty ich podkład alegoryczny. Odrzucając w pierwszych opowiadaniach wybija się on na pierwszy plan — wilki z Seonee zawdzięczają swą potęgę i dobrobyt posłuszeństwu wobec prawa i wodza, przeciwieństwem ich jest lud małp, Bandar Log — i trudno tu nie dopatrzeć się narodu cywilizowanego (zapewne Anglików) i ludów barbarzyńskich (zapewne kolorowych). Dale biała foka będzie przedstawiała jednostkę genajną, wskazując narodowi swemu nowe drogi, walka wilków z Seonee z najazdem dolów z Dekonu będzie obroną ojczyzny, w której madre współdziałanie, pogarda śmierci i wyższa strategia odnoszą zwycięstwo nad przewagą siły i liczby — w myśl starej maksymy Horacego:

Vis consilii expertis mole ruit sua,
Vim temperatam di quoque provehant
Ad maius.

Realizm psychologiczny nie zawsze dał się pogodzić z alegorią, przy której pomocy Kipling pragnął oddziaływać na „złotocę umysłu”. A to przecież było głównym celem autora. Niektóre jego opowiadania przypominają poprostu średniowieczną satyrę zwierzęcą, w której każda postać jest tylko w kudłata skórę przybranym człowiekiem. Jestem przekonany, że ilekroć Kipling miał do wyboru między ścisłością w stosunku do życia, a swym celem moralizatorskim rozstrzygał konflikt na korzyść drugiego. Stąd nie należy w „Księgach dżun-

gli” szukać wiernego obrazu życia zwierząt.

Tak też jest z magnetyzmem pytona Kaa. Jego taniec mógłby przez chwilę oddziaływać na zwierzęta, przykuwając ich uwagę i umożliwiając wężowi zaskoczenie. Takie jednak obezwładnienie woli, jakie przedstawia Kipling, to stanowczo przesada. Trudno też zgodzić się, aby zachodziła pod tym względem tak jaskrawa różnica między zwierzętami a człowiekiem.

Uwagi powyższe podyktował mi ogłoszony w jednym z pism Indyjskich artykuł E. G. Boulengera, który łączy naukowe wykształcenie z długoletnim doświadczeniem. Zajmuje on się pytaniem, czy istnieje wogóle „fascynacja węzów” i dochodzi do odpowiedzi przeczącej.

Słyszymy tu bardzo mało o złowieszczym tańcu. Boulenger rozpatruje tylko najbardziej rozpowszechnioną wiarę, że węże umieją magnetyzować swe ofiary wzrokiem. Powstała ona dlatego, że wąż nie ma powiek, że posuwa się po ziemi zygawkowato i często próbuje gruntu rozwidlonym językiem. To wszystko jest poprostu przeciwieństwem wrażenia, jakie wywołują lepiej nam znane czworonogi i wywołało sprzeczne z rzeczywistością wyjaśnienia.

Na tem właśnie tle powstało ubóstwienie węzów w szeregu krajów i różne fantastyczne przesady — np. wiara Indian amerykańskich, że ilekroć grzechotnik pozbawi człowieka życia ukąszeniem, wyrasta mu nowy kawałek grzechotki.

W paryskim Palais Royal urządzono w sierpniu wystawę trzech braci Le Nain, których obrazy zebrano starannie, wypożyczając je z różnych zbiorów prywatnych, głównie francuskich i angielskich. Wszyscy trzej podpisywali się samem nazwiskiem, wszyscy trzej kształcili się pierwotnie na wzorach flamandzkich, wszyscy trzej pracowali przez przeszło piętnaście lat w tem samem atelier, pomagając sobie wzajemnie i często używając tych samych modeli. To też przez długi czas nie próbowano nawet odróżniać ich obrazów, a poza uczonymi specjalistami mało kto wiedział, że podpis Le Nain oznacza zwykle jedną z trzech osób — Antoniego, Ludwika lub Mateusza.

Od jakichś lat pięćdziesięciu sprawa się nieco zmieniła, ale znawcy sztuki nie w każdym wypadku doszli do zgody. „Narodziny Matki Boskiej” z kościoła Saint Etienne-du-Mont wyszły wedle jednych z pod pendzla Ludwika, wedle innych z pod pendzla Mateusza. Obraz „Malarz w swej pracowni”, należący do Pinakoteki monachijskiej (Aeltere Pinakothek) figuruje w jej katalogach jako dzieło Mateusza, ale prawdopodobnie jest dziełem Ludwika. „Młodych muzykantów”, własność lorda Aldenham przysadzają jedni Antoniemu, inni Mateuszowi. Wygląda tak, jakby bracia umyślnie chcieli przysporzyć kłopotu (czy tematu do polemiki) przyszłym historykom sztuki.

Bracia pochodzili z Laon w północnej Francji i przybyli do Paryża w roku 1630. Najstarszy, Antoni, miał wtedy lat 43, Ludwik 37, Mateusz 23. Zamieszkali na Rue Princesse. Po długoletnich studiach niewiele można powiedzieć o przynależności obrazów, jakie wyszły z ich pracowni w ciągu następnych lat dziesięciu. Dopiero w późniejszych obrazach można poniekąd się zorientować — czy to wedle powtarzających się postaci, czy wedle przedmiotu, czy wreszcie wedle techniki i kolorytu.

Boulenger nigdy nie stwierdził, aby węże fascynowały wzrokiem. Zna pewnie ich wschodnio-azjatycki gatunek, żyjący na drzewach. Gady te mają głowę, podobną do ostrza dzidy, a wzorzyste zabarwienie. Język jest tego samego koloru i gdy wąż szybko wystawia go i chowa, wywołuje wrażenie, iż głowa jego raz powiększa się, raz maleje. Ptaszki i jaszczurki, które stanowią zwykłe pożywienie węża, przypatrują się dziwnemu zjawisku, on tymczasem podpełza tak blisko, że może już dosięgnąć ich pierwszym skokiem. Nie jest to jednak jego magnetyzm, tylko ciekawość ptaków i jaszczurek.

Dziś w londyńskim Zoologu nie karci się gadów publicznie, lecz przed kilku laty istniał jeszcze ten obyczaj. Można było wówczas obserwować szczury, myszy i inne małe zwierzęta, przeznaczone na żer, ale zupełnie nieprzestraszone bliskością gadów. Jadły one lub myły się spokojnie, nie zdając sobie sprawy z bliskości śmierci.

Jeszcze znamienitszy wypadek zaszedł w londyńskim Muzeum Historii Naturalnej. Czterostopowemu południowo-afrykańskiemu węzowi rzucono biały szczura. Lecz wąż widocznie nie był głodny i nie tknął gryzonie, który osiedlił się przy nim. Nadeszła zima. Gad wykopał sobie ciepłą jamę i ułożył się w niej do snu. Lecz zuchwały szczur pozazdrościł mu mieszkania, wypędził gospodarza i sam je zajął. Wąż znowu wykopał sobie bródę i gryzoń ponownie go wyrzucił. Mimo to nie było mię-

dzy nimi nieprzyjaźni. Dopiero z wiosną wrócił wężowi apetyt i energia. Wówczas zaborny współlokator posłużył mu za pierwszy posiłek.

Mniejsze zwierzęta nie boją się tedy węzów i nie ulegają ich rzekomemu magnetyzmowi. Z większych jedynie małpy dzielą ludzki strach. Lecz Kipling nie ma słuszności, przypisując to fascynacji. Obawa nie jest wrodzona, najwidoczniej wynika z przykładu czy ostrzeżeń starszych małp. Mały orangutan wychowywał się w londyńskim Zoo pod opieką dozorczy. Po jakimś czasie zrobiono doświadczenie i wpuszczono do jego klatki dużego, niejadłowego węża, którego widok zazwyczaj wywołuje u ludzi grozę. Młoda małpa traktowała go, jakby nową, interesującą zabawką. Owijała go sobie koło szyi i członków, ciągnęła go po ziemi i wogóle tak go męczyła, że trzeba było zwierzęta rozdzielić.

Obserwowano zachowanie się wszystkich ptaków i owadów w londyńskim Zoo na widok węzów. Tylko małpy okazywały wstęt i twogę.

Małpy są bowiem najbliższe ludziom, a ci rozumem doszli do strachu przed stworzeniami, które zbliżają się po cichu i nieraz zabijają ukąszeniem, a są zgoła odmienne od innych stworzeń. Rzecz ma się więc przeciwnie, niż przedstawia Kipling: Zwierzęta wolne są od strachu, zwyczajnego u ludzi.

Boulenger kończy swój artykuł ilustracją powszechnej odrzy do węzów. Przed kilku laty pewien duchowny zwrócił się do zarządcy oddziału gadów w londyńskim Zoo, prosząc o pożyczanie małego, niejadłowego węża, aby móc „pokazać parafianom stworzenie odpowiedzialne za grzech pierworodny”.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI.

Jeden artysta w trzech osobach

W paryskim Palais Royal urządzono w sierpniu wystawę trzech braci Le Nain, których obrazy zebrano starannie, wypożyczając je z różnych zbiorów prywatnych, głównie francuskich i angielskich. Wszyscy trzej podpisywali się samem nazwiskiem, wszyscy trzej kształcili się pierwotnie na wzorach flamandzkich, wszyscy trzej pracowali przez przeszło piętnaście lat w tem samem atelier, pomagając sobie wzajemnie i często używając tych samych modeli. To też przez długi czas nie próbowano nawet odróżniać ich obrazów, a poza uczonymi specjalistami mało kto wiedział, że podpis Le Nain oznacza zwykle jedną z trzech osób — Antoniego, Ludwika lub Mateusza.

Od jakichś lat pięćdziesięciu sprawa się nieco zmieniła, ale znawcy sztuki nie w każdym wypadku doszli do zgody. „Narodziny Matki Boskiej” z kościoła Saint Etienne-du-Mont wyszły wedle jednych z pod pendzla Ludwika, wedle innych z pod pendzla Mateusza. Obraz „Malarz w swej pracowni”, należący do Pinakoteki monachijskiej (Aeltere Pinakothek) figuruje w jej katalogach jako dzieło Mateusza, ale prawdopodobnie jest dziełem Ludwika. „Młodych muzykantów”, własność lorda Aldenham przysadzają jedni Antoniemu, inni Mateuszowi. Wygląda tak, jakby bracia umyślnie chcieli przysporzyć kłopotu (czy tematu do polemiki) przyszłym historykom sztuki.

Bracia pochodzili z Laon w północnej Francji i przybyli do Paryża w roku 1630. Najstarszy, Antoni, miał wtedy lat 43, Ludwik 37, Mateusz 23. Zamieszkali na Rue Princesse. Po długoletnich studiach niewiele można powiedzieć o przynależności obrazów, jakie wyszły z ich pracowni w ciągu następnych lat dziesięciu. Dopiero w późniejszych obrazach można poniekąd się zorientować — czy to wedle powtarzających się postaci, czy wedle przedmiotu, czy wreszcie wedle techniki i kolorytu.

Antoni stanowczo odróżnia się od braci prymitywną metodą. Nie uznaje wcale światłocienia, co jego portretom nadaje dziwny charakter. Malował najchętniej mieszczan i sceny z ich życia. Nie lubił dużych obrazów, stąd często używał nie płótna, lecz na drzewie lub na miedzi. Kompozycja Antoniego bywa naiwna, kolory bywają jaskrawe i wyraźnie odcinają się od siebie. Z obrazów jego warto wymienić „Benedicite” (na miedzi, ze zbioru Dawida Weilla), „Grupę portretów” (na drzewie, z angielskiej Galerji Narodowej), „Młodych muzykantów” (na płótnie, ze zbiorów lorda Aldenham), „Pracownię” (na drzewie, ze zbiorów markiza Bute).

Jakkolwiek między Antonim a Ludwikiem było tylko 5 lat różnicy, między Ludwikiem a Mateuszem aż 14, istnieje między dwoma drugimi szeregi punktów stychnych. Są wyraźnie bardziej nowożytni od Antoniego. Używają efektów świetlnych. Widocznie zawdzięczają to wpływowi włoskim, chociaż prawdopodobnie żaden z nich nie był pod auzoniem niebem. Lecz wiemy, że szczególnie Caravaggio oddziaływał na współczesnych Francuzów, może więc i na młodszych braci Le Nain pośrednio. Trudniej wyjaśnić niezaprzeczone podobieństwa do szkoły hiszpańskiej, do Valasqueza i Ribery. Bądź co bądź, musieli mieć sposobność zapoznania się choć z paru obrazami tych mistrzów.

Ludwik jest malarzem życia wiejskiego. Różni się jednak bardzo od Holendrów. Z płócien Breughela, Brouwera, czy Teniersa bije ordynarność, nastrój pijacki, nieledwie wrzawa kłótni czy hulanki. Chłopi Ludwika Le Nain, choć nie raz w obszarpanych czy łańcuchach kubrakach, odznaczają się powagą i godnością. Nie stara się on podchwycić ruchu, grupuje swe postacie w chwilach spoczynku. Woli barwy łagodne od jaskrawych, najchętniej używa szarej i brązowej. Cechy te widoczne są w „Wypoczynku wieśniaków”, „Zebraniu rodzin-

nem” (Luwr), w „Postoju rycerza” (Muzeum Alberta i Wiktorji w South Kensington w Londynie), w „Wieśniaku przed chatą” (własność księcia Rutland), w najlepszym może „Wnętrzu flamandzkim” (własność księcia Leeds) i w sławnym „Wozie”.

Najsilniej ulega wpływom holenderskim Mateusz. Niektóre jego obrazy przypisywano mylnie Michałowi Sweertsowi, Van Honthorstowi, Janowi Mięlowi. A przecie baczniejsze oko stwierdzi zawsze u niego, jak u starszych braci, swobodny realizm, właściwy szkole francuskiej.

Mateusz był malarzem szlachty i arystokracji. Za portret Anny Austriackiej został nawet nobilitowany. Celuje jednak w grupach, przedstawiając swe zamysły, a nieraz wytworne postaci przy sołach gospód, przy grze w karty czy tryk-traka. „Kordegarda” ze zbiorów baronowej de Berkheim uchodzi za jego najlepszy obraz tego rodzaju. „Święto wina” przedstawia sześciu ludzi — z tych dwaj szlachcice, umieszczeni na prawo, malowani są z większym rozmachem i pewniejszą ręką, niż czterej wieśniacy. Mateusz nie umie malować przyrody. Najchętniej daje swym obrazom za tło wnętrze pokoju. Lecz nawet tam, gdzie scena rozgrywa się napewno pod gołym niebem, zadowala się konwencjonalnym tłem bładoniebieskim — tak jest w uroczej „Lekcji tańca”. Wymienione już „Święto wina” ma tło szare — zresztą dobrze wybrane jako kontrast do strojów postaci.

Najwybitniejszym artystą z braci był niewątpliwie Ludwik, odegrał też w rozwoju malarstwa francuskiego dość wybitną rolę, wnosząc w nie coś nowego i oryginalnego, jakiś nowy sposób patrzenia na ludzi i na rzeczy, trzymając się rzeczywistości, a równocześnie wydobywając z niej — poezję.

N. P.

O nikotynie i jej własnościach

W ostatnich czasach rozpowszechnia się w Polsce niebawem uprawa roślin tytoniowej, a równocześnie konsumpcja tytoniu wzrasta silnie wśród szerokich warstw społeczeństwa polskiego bez względu na wiek i płeć. Fakt ten wywołuje potrzebę poznania własności takiego alkaloidu, jak nikotyna, którą w świecie roślin zawiera jedynie tytoń. Prócz tego znajomość chemii tytoniu powinna stać się własnością tak szerokich kół rolniczych, jak i konsumentów, choćby dlatego, że używka tytoniowa działa często ujemnie na ludzki organizm.

W szerokich kołach naszego społeczeństwa panuje zapatrywanie, że nikotyna jest najszkodliwszą częścią składową rośliny, a zwłaszcza liści tytoniowych, — wobec czego omówimy przede wszystkim właściwości tego alkaloidu.

Chemja zalicza nikotynę do grupy alkaloidów. Do grupy tej należą wszystkie związki o charakterze zasad i zawierające azot. W grupie alkaloidów, liczącej setki związków, nikotyna odznacza się tem, że nie zawiera tlenu. Takie same właściwości wykazują jeszcze trzy alkaloidy, a mianowicie: piperydyna, koniina i sparteina.

W roślinie tytoniowej odkrył nikotynę Vouquelin w 1809 roku, jednak dopiero w 1828 r. chemicy Posselt i Reiman otrzymali nikotynę w czystej postaci, ustalając jej budowę według wzoru C_8H_7N . Później Barrelet zbadał dokładnie budowę drobin nikotynowych i poprawił powyższy wzór na $C_{10}H_{14}N_2$.

W nauce chemii zalicza się nikotynę do zasad, które posiadają tę własność, że tworzą łatwo sole rozpuszczalne, które jednak krystalizują z trudnością. — Z drugiej strony nikotyna posiada tę własność, że szybko wchodzi w podwójny związek ze solami metali, a taki związek krystalizuje szybko i z łatwością.

Wiele lat badano własności i właściwości nikotyny, które tak długo były nieznane, dopóki Pictet nie doszedł do syntezy tego alkaloidu i z tą chwilą materiał naukowy, dotyczący się nikotyny stał się wielce interesujący.

Metody analizy nikotyny tak jakościowej, jak też ilościowej przeszły długą historję. Chemicy długi czas pracowali bezskutecznie nad tem, by przy pomocy ilościowej analizy tytoniu oznaczyć wysokość zawartości tego alkaloidu w danym materiale. W drugiej połowie XIX w. chemicy poświęcili temu przedmiotowi wiele uwagi, celem zaspokojenia licznych potrzeb i zadań rolniczych, przemysłowych i handlowych. Potrzeby te wzrosły jeszcze z chwilą, gdy tytoń stał się przedmiotem wielkiego, światowego handlu i okazała się konieczność oznaczenia podstaw dla klasyfikacji surowca i wyrobów tytoniowych.

Wyznaczono wiele metod, służących do oznaczenia ilości nikotyny w tytoniu, wśród których na pierwsze miejsce wybiły się: metoda Kisslinga i metoda Totha. Niestety licznie wykonane analizy według tych metod dają często wyniki różne, wobec tego niepewne, — czyli że obecnie nie posiadamy jeszcze zupełnie pewnej metody, według której wykonana analiza tytoniu dałaby nam zupełnie ściśle dane, dotyczące się zawartości nikotyny w danym materiale.

Długoletnie jednak prace nad nikotyną przyczyniły się wiele do poznania właściwości tego alkaloidu.

Przedewszystkiem stwierdzono, że nikotyna w czystym stanie posiada

własność skręcania płaszczyzny spolaryzowanego światła, przez co alkaloid ten stał się w nauce wielce wartościowym.

Prócz tego stwierdzono, że nikotyna rozpuszcza się we wszystkich do tego celu używanych środkach, wobec czego w każdym organizmie łatwo przenika do wszelkich organów i komórek.

Zachowanie się nikotyny we wodzie wykazuje również wiele ciekawych właściwości. Jeśli wodny roztwór nikotyny poczyniemy ogrzewać, to przy temperaturze $+60^{\circ}C$ do $+70^{\circ}C$ tworzy się w dotychczas jasnym roztworze zaciemnienie, które po chwili przy dalszym ogrzewaniu ustępuje i w dotychczas jednolitym płynie wylaniają się w końcu dwie warstwy wyraźnie odgraniczone, z których jedne tworzą hyperpolę. Obie te warstwy pozostają nienaruszone aż do temperatury $200^{\circ}C$, w cieplecie, wyższej ponad $200^{\circ}C$ znikają. Ta ciekawa własność nikotyny posiada swą wartość przy przeprowadzaniu fermentacji tytoniu, jakoteż w przemyśle tytoniowym zwłaszcza w czasie przyrządzania liści tytoniowych do wyrobu.

Nikotyna znajduje się w tytoniu obok różnych składników mineralnych i organicznych, Pictet utrzymuje, że tytoń zawiera prócz nikotyny jeszcze inne alkaloidy, bliżej niezbadane, różniące się między sobą punktem wrzenia i specyficznym ciężarem.

Nauka chemii nie rozwiązała jeszcze pytania, czy te alkaloidy tworzą się podczas okresu wegetacyjnego rośliny tytoniowej, czy też powstają dopiero po zbiorze liści tytoniowych w czasie suszenia i fermentacji.

Nikotyna w czystym stanie jest jasnym, bezbarwnym płynem o wielkiej ruchliwości, o bardzo silnym i wybitnym a charakterystycznym zapachu i nadzwyczaj ostrym smaku. W tym stanie jest niebawem silną trucizną. Płyn ten pod wpływem tlenu powietrza bardzo

łatwo i szybko brunatnieje i gęstnieje.

W roślinie tytoniowej i wogóle w tytoniu nikotyna bardzo rzadko znajduje się w wolnym stanie, lecz prawie zawsze w połączeniu ze składnikami organicznymi. Młode rośliny tytoniowe zawierają zwykle bardzo małe ilości nikotyny, starsze zaś i dojrzałe zawierają ją w różnych dawkach zależnie od gatunku rośliny tytoniowej, od gleby, klimatu a przede wszystkim od sposobu uprawy, zbioru, suszenia i fermentacji.

Na ogół jednak liście tytoniowe o grubej strukturze, mięsiste i ciemno-brunatne zawierają więcej tego alkaloidu, aniżeli liście z delikatną, cienką strukturą i jasną barwą.

Zawartość nikotyny w różnych gatunkach tytoniu jest wielce różną. Tytonie azjatyckie zawierają jej 4—5%, amerykańskie 1.5—3.5%, hawańskie średnio 3%, tyrolskie 5%, niemieckie 2—4%, węgierskie często do 8%. Liczne analizy tytoniu wykazały, że najmniej nikotyny zawierają tytonie polskie, gdyż ilość ta zniża się u nas do 0.3% a u bardzo ostatnich tytoni polskich, służących do wyrobu ekstraktu tytoniowego podwyższa się do 3%.

Chodziłoby jeszcze o rozwiązanie pytania, jak nikotyna wpływa na organizm i zdrowie konsumentów tytoniu. Przedewszystkiem należy zaznaczyć, iż nie ma dowodu, by najszkodliwszym składnikiem tytoniu była nikotyna, która w czasie palenia znika szybko i rozkłada się pod wpływem tlenu i innych zewnętrznych czynników. Zatrucie tytoniem, mylnie nazywane zatruciem nikotyną, jest zwykle skutkiem nadmiernego palenia czyli nadużycia i wynikiem mniejszej lub większej odporności danego organizmu. Nie wiemy jednak, które składniki tytoniu i w jakiej postaci działają szkodliwie na organizm ludzki, gazy, zatrujące nasze organy oddechowe, błony śluzowe i wogóle organizm.

To pewne, że z jednej strony jest

tutaj czynny tytoń, a z drugiej człowiek, jako jego konsument.

Organizm jednego człowieka zniesie większą, często nawet bardzo wielką dawkę tej używki, jeśli jest silny, odporny i zdrowy, podczas gdy nawet bardzo mała dawka wpływa wielce szkodliwie na organizm innego człowieka mniej odpornego i nie przystosowanego do tej konsumpcji.

To pewne, że nikotyna działa podniecająco na człowieka, ale tylko do pewnego momentu i przy pewnym ilościowym stosunku do odporności organizmu. W każdym razie jednak nadużycie tytoniu osłabia zmysły, umysł i wolę człowieka.

Tytoń działa na organizm ludzki powoli, nieznacznie, że się tak wyrażę tajemniczo do tego stopnia, że choroby nawiedzające palacza tytoniu przypisuje się zwykle innym przyczynom. Palacz często przypisuje bóle w żołądku jakiejś spożytej potrawie, ból głowy albo katar przeziębieniu, ból oczu pewnym zewnętrznym przyczynom. A tymczasem jakże często wywołuje te niedomagania nadużycie tytoniu, czego najlepszym dowodem jest to, że przerwa w paleniu usuwa szybko te dolegliwości.

Długa służba przy monopolu tytoniowym pozwala na liczne obserwacje w tym względzie. Stwierdza się również liczne dodatnie objawy. Tytoń jest dobrym środkiem antyseptycznym. Pracowników fabryki tytoniu omijają rozmaite choroby, statystyka dowodzi, że mały procent zapada na gruźlicę a praktyka fabrykacyjna uczy, że konsument zatrutej się jedynie tytoniem złym, źle wyprodukowanym i źle przyrządzonym, a zwłaszcza zanieczyszczonym.

Dlatego też w trosce o dobro społeczeństwa starać się należy, by pracę kierowniczą tak przy uprawie, suszeniu i fermentacji tytoniu, jak przy fabrykacji tytoniu powierzono ludziom fachowym i doświadczonym.

Dr. Julian Skulski
Inż. roln.

Nowości z przyrody i techniki

Pokłady rudy uranowej w Kanadzie. Produkcja radu stała się od roku 1922 niemal monopolem Belgii, a to dzięki odkryciu bogatych pokładów rudy uranowej w Katanga (Kongo belgijskie). Produkcja wynosząca zaledwie 20 gramów w roku 1923, wzrastała stopniowo, dochodząc w roku 1929 do 60 gramów i na tej wysokości utrzymuje się dotychczas.

Obecnie jednak odkryto nowe pokłady rudy uranowej w północnej Kanadzie, a mianowicie w pobliżu Wielkiego Jeziora Niedźwiedziego (Great Bear Lake), położonego w pobliżu kół podbiegunowego. Okolica ta dotychczas mało była zbadana, z powodu trudnego dostępu i śniegów, leżących tam przez większą część roku.

Pokłady te, ciągnące się na długości kilku kilometrów, zawierają — jak wykazały badania, między 30 a 80 procent tlenku uranu, co pozwala uzyskać przeciętnie 120 do 150 miligramów czystego radu z jednej tony rudy. Jest to procent bardzo wysoki, skoro się uwzględni, że z rudy uranowej wydobytej w Katanga otrzymuje się tylko około sto miligramów radu na tonę.

Jedyną trudność stanowi długi i uciążliwy transport rudy, na przestrzeni 1600 km. do Waterways, najbliższej stacji kolejowej.

Koszty te jednak wytrzymują doskonale kalkulacje wobec bardzo wysokiej ceny tego rzadkiego produktu. Cena ta, wynosząca 500 franków w złocie za 1 miligram, spadła ostatnio do 350 franków w złocie.

Lampki wzmacniające, wagi 78 kg. Wszystkie radiostacje dają obecnie do

zwiększenia siły swych aparatów nadawczych, co w pierwszej linii zależy od wydajności lampek wzmacniających. Dotychczas stosowano do tego celu cały szereg równolegle zmontowanych lampek, których ilość była tem większa, im mniejszą była siła poszczególnych lampek.

Ze względów ekonomicznych dąży się do tego, by ilość tych lampek zredukować do minimum, powiększając równocześnie ich rozmiary i siłę.

Radiostacje niemieckie w Monachium, Lipsku i Wrocławiu posiadają już lampki o sile 150 kilowatów; ostatnio zaś stacja w Koenigswusterhausen oraz austriacka stacja w Bisamberg pod Wiedniem otrzymały lampki o sile 300 kilowatów.

Lampka taka, długości 1.70 mtr., wagi nie mniej jak 78 kg. i posiada, jak każda zwyczajna lampka, katodę i anodę. Otrzymując prąd stały, a przetwarzając go na zmienny o wysokiej częstotliwości, wytwarza przy tym procesie ciepło, pod działaniem którego anoda rozżarza się do czerwoności, gdyby nie była stale chłodzona strumieniem zimnej wody.

Oziębianie to odbywa się w ten sposób, że anoda umieszczona jest z zewnątrz właściwej lampki. Ma ona kształt długiego cylindra miedzianego, zamkniętego w drugim metalowym cylindrze. Między ścianami tych cylindrów krąży zimna woda, której zużycie wynosi 165 litrów na minutę.

Walka z dymem fabrycznym: Największą plagą wielkich miast, zwłaszcza przemysłowych, są chmury dymu, płynące z kominów fabrycznych i okrywa-

jące miasto niby szarym, ciężkim całunem. Jak wykazały badania, przeprowadzone w angielskim mieście fabrycznym, Leeds, ciężka ta powłoka dymów absorbuje nie mniej jak 60 proc. promieni słonecznych; w wielkich miastach jak Berlin i Paryż absorbcja ta wyraża się cyfrą 25 do 30 proc.

Stan ten odbija się fatalnie na zdrowotności mieszkańców, nie dziw zatem, że podjęto energiczną akcję celem skutecznego zwalczania tej plagi.

W pierwszej linii dąży się do jak najszerszego wyzyskiwania gazu, elektryczności i koksów jako źródeł ciepła, — w ten sposób bowiem uniknęłoby się wywidywania się dymów. Nie zawsze i nie wszędzie jest to jednak możliwe, z uwagi na wysokie koszty, nie wytrzymujące kalkulacji w wielkich przedsiębiorstwach przemysłowych.

Z pomocą przyszła tu nowoczesna technika, konstruując cały szereg urządzeń, dzięki którym redukuje się wytwarzanie dymów w znacznym stopniu.

Odpowiednia wentylacja, racjonalna budowa paleniska, filtry elektryczne i wodne, — oto cały bogaty arsenał tego rodzaju środków.

Ostatnio rząd francuski wydał specjalną ustawę, nakazującą wszystkim przedsiębiorstwom fabrycznym zaopatrzenia się w odpowiednie urządzenia pochłaniające dym. Ustawa ta wywołała liczne protesty i polemiki, nakłada bowiem na interesowanych nowe, dość znaczne ciężary. Wprowadzenie jej w życie ma jednak bardzo doniosłe znaczenie, z punktu widzenia higieny społecznej. (k).

Bajroniczny piewca Kaukazu

(w 120-lecie urodzin Michała Lermontowa)

Trzem wieszczom naszym odpowiada w literaturze rosyjskiej trójca: Puszkina - Lermontow - Gogol. Rozumie się, przeobrażanie analogii między Puszkinem a Mickiewiczem i między Słowackim a Lermontowem byłoby bardzo ryzykowne; Kraszińskiego zaś z Gogolem łączy chyba to jedynie, że obaj na szczyty literatury narodowej wzniesli prozę artystyczną, uzyskując dla niej równorzędne miejsce obok wielkiej poezji.

Łatwiej natomiast da się przeprowadzić analogia między tem, co łączyło i dzieliło Mickiewicza i Słowackiego a między stosunkiem wzajemnym (stosunkiem nie osób, ale indywidualności twórczych) między Puszkinem a Lermontowem. A więc jak Słowacki obok Mickiewicza — jest Lermontow obok Puszkina największym poetą rosyjskim, przez niektórych uważanym za większego jeszcze artystę, niż twórca „Oniegina” i „Borysa Godunowa”.

Za życia Lermontow stosunkowo mało był znany i ceniony — wyjątek stanowią tylko te jego utwory, w których przy pomocy bezlitosnej satyry chłoszczę swych nieprzyjaciół lub sprawców „nieprawości” w Rosji. Po śmierci coraz to większa aureola otacza młodego zmarłego poetę; za życia niemal nieznaną, urasta po latach niemal do rozmiarów świętości narodowej. Przewyższa Lermontow Puszkina siłą egotycznego przeżywania — jest on w znacznie większym stopniu lirykiem, niż pierwszy, prawdziwie nowoczesny i największy poeta ziemi rosyjskiej. Gdy u Puszkina przeważają elementy plastyczno-epickie, Lermontow zachwyca przede wszystkim muzykalnością swej liryki.

Ta jego melodyjność nie znajduje sobie równych w poezji rosyjskiej przez cały wiek XIX-ty, a nawet i w wieku XX-tym wspaniała muzyczność poezji symbolistów nieraz ustępuje prostej, bezpośredniej melodyjności wiersza lermontowskiego.

Uderza w Lermontowie niezwykle wczesna dojrzałość: gwałtowna śmierć unicestwiła olbrzymi talent poetycki w chwili, gdy się zbliżał do szczytowego napięcia, gdy się znajdował w okresie największego, najbujniejszego rozkwitu.

Podobieństwo między Lermontowem a Słowackim ma charakter czysto zewnętrzny, a nieraz przypadkowy. Poza temi elementami zewnętrznego i przypadkowego nie istniało nic naprawdę, coby łączyło duchowe „ja” twórcy „Lilli Wenedy”, „Anhellego” i „Króla Duchy” z oficerem gwardii o bardzo niewysokim poziomie moralnym... z awanturnikiem i złośliwym mizantropem, który dzięki tej awanturniczości i złośliwości sam poniekąd stał się sprawcą własnej tragicznej śmierci. Nic innego bowiem jak klótnia i zjadliwa złośliwość Lermontowa spowodowały awanturę z oficerem Martynowem, — awanturę, zakończoną tragicznym pojedynkiem, w wyniku którego Rosja straciła jednego z największych swych poetów w okresie najbujniejszego rozkwitu jego talentu.

Zginął Lermontow w roku 1841, w 28 roku życia, w 4 mniej więcej lata po śmierci Puszkina, który 27 stycznia 1837 r. również zginął w pojedynku. Śmierć jednak Puszkina — w przeciwieństwie do Lermontowa — ma charakter prawdziwie głęboko tragiczny: wielki poeta nie zawinił w niczem, by choć w czemkolwiek można było przypisywać smutny jego los jemu samemu.

Uderza w literaturze rosyjskiej tragizm losów wielkiej liczby najwybitniejszych poetów: Batuszkow, znakomity klasyk, umarł duchowo na długo przed śmiercią fizyczną — długie lata pędził w obłąkanin; Gogol również wykazywał przed śmiercią silne objawy choroby psychicznej; „diekabrista” Rylejew zginął na szubienicy; twórca słynnej komedii „Goriot” — Gribiedow zginął w Teheranie jako poseł rosyjski, rozszarpany przez fanatyczny tłum muzułmański, przed którym bronili perskich chrześcijan; Błoka dobił podobno głód w Rosji Sowieckiej; Gumilow zginął rozstrzelany przez „czeka”, Jesienin i Majakowski targnili się na własne życie; Puszkina i Lermontowa — jak się powiedziało — zginęli w pojedynku.

Rzecz znamienna, że Lermontow śmierć swą przeczuł i bardzo dokładnie ją opisał zarówno w swych lirykach, jak i w scenie pojedynku oficerów w romansie „Bohater naszych czasów”.

Główną osobliwością poezji Lermontowa są pesymizm i mizantropia, przenikające całą jego twórczość, a będące najklasyczniejszym objawem zbajronizowania się poezji poza angielskiej. Bajroniczna moda wywarła na literaturę rosyjską wpływ równie silny, a może i silniejszy niż na polską; modzie tej ulegali i Puszkina. Bajronizm jednak poetów rosyjskich miał charakter sztuczny, powierzchowny, czysto zewnętrzny, — był następstwem nie takiego czy innego nastawienia duchowego, ale skutkiem gorączkowego ugania się za wszystkim, co modne było w świecie artystycznym Zachodu.

Uganie się to za obcą modą jest jedną z najcharakterystyczniejszych cech literatury rosyjskiej na początku XIX stulecia. Nic innego, jak tylko moda kazała Puszkiniowi wdziawać na siebie maskę poety romantycznego, choć cała jego psychika i konstrukcja artystyczna były bardzo odległe od romantyzmu i

obce jego ideałom i kanonom.

Tak samo maską tylko był bajronizm Puszkina („Jeniec kaukaski”, „Cyganie”, „Bakcziserajska fontanna”), przeciwnie niż u Lermontowa, którego pesymizm, mizantropia i melancholijność rozwinął tylko wpływ Byrona, stając się źródłem pełnej melancholii i mizantropii, owianej kultem przyrody a pogardą do ludzi i cywilizacji, — poezji „kaukaskiej” Lermontowa.

Kaukaz wywarł na poecie olbrzymie wrażenie, zaciążył nad całą jego twórczością. I Puszkina opiewał Kaukaz, — a przecież nie potrafił, czy nie chciał tak sugestywnie odtworzyć groźnego, przytłaczającego czaru wspaniałej przyrody. Uwielbienie natury nie osłabiało w Puszkinie radości życia: jego „Jeniec kaukaski”, typowa bajroniczna psychika — oficer rosyjski, wzięty przez czerkiesów w niewolę, choć poznał nicość swych walorów psychicznych („przeżartych cywilizacją”) w obliczu wspaniałej natury i jej dzieci, — skorzysta przecież z ofiary miłości Czerkieski i wróci z niewoli do swoich... do cywilizacji, zostawi za sobą na zawsze ten świat nawpółdzikich, pierwotnych ludzi, dzieci nawpółdzikiej, pierwotnej natury — i cieszyć się będzie, gdy „przed nim we mgle zasną rosyjskie bagnety, a na wzgórzach nawoływać się będą straża kozackie”.

Ten sam temat inne znajduje rozwiązanie u Lermontowa: ofiara miłości i życia Czerkieski nie zdała się na nic, jeniec ginie podczas ucieczki, tuż niemal przed placówkami rosyjskimi — ponura beznadziejność owiewa cały poemat!..

Ta ponura beznadziejność, połączona z nienawiścią i pogardą do ludzi, a w szczególności do cywilizacji, — a prześlągnięta uwielbieniem dla przyrody — charakteryzuje całą „kaukaską” poezję Lermontowa. W poemacie „Izmał - bej” góral kaukaski miał możliwość poznać się ze światem cywilizacji i wyniósł z tego zetknięcia się tylko nienawiść, wstręt i

pogardę. W „Mcyri” bezdomne dziecko kaukaskie wychowuje się w klasztorze, pędzi spokojne, zamknięte życie. I o pewnego dnia — już jako młodzieniec — wyrwa się z klasztoru, błądzi przez lasy i góry, podziwia przyrodę i sam się z tą przyrodą zespala, walcząc ze zbikami jak jedno zwierzę z drugim. Odnosi zwycięstwo, zabija zbiki, ale niebawem ginie z ran, wyznając w klasztorze przed śmiercią, że nie żałuje tego jednego dnia, bo „długo żył, lecz żył w niewoli — takie dwa życia warto oddać za jedno”.

Szczytem twórczości Lermontowa jest poemat „Demon”. Tu najwspanialej uniesmiertelniony został czar przyrody Kaukazu. Tu też w całej pełni wystąpił bajronizm Lermontowa: „smutny demon, wygnany duch” latał nad grzeszną ziemią, samotny, nieszczęśliwy, spragniony miłości. Zdobywa po długim kuszeniu miłość zakonnicę, która pokochała go właśnie za to jego straszliwe osamotnienie, — ale gdy po jej śmierci chce zabrać jej duszę do swego mrocznego królestwa, anioł mu ją odbiera i prowadzi do Nieba, bo była czysta i niewinna. A demon znowu samotny krąży nad ziemią...

Że potrafił jednak talent Lermontowa tworzyć wartościowe rzeczy, a nawet arcydzieła i w innych dziedzinach, — dowodem nietylko pseudo-historiesy dramat „Hiszpanie”, tchnący nienawiścią do katolicyzmu, ani nawet dramatyczne studium o miłości i zazdrości — „Bal maskowy”, — co wspaniała „Pieśń o kupcu Kałasznikowie”, wczuwająca się w ducha epoki i kultury artystycznej czasów Iwana Groźnego.

Do literatury światowej ponadto wnoszą Lermontow nawpół autobiograficzne, analityczne studium powieściowe p. t. „Bohater naszych czasów”, jeden z najwspanialszych dokumentów dziejów duszy z epoki romantycznej ironii i bajronicznego pesymizmu i mizantropii, stojące w jednym szeregu z „Child - Haroldem” i „Don Juanem” Byrona, „Onieginem” Puszkina i „Spowiedzią dziecięcia wieku” Alfreda de Musset. (p. t.)

O „niepotrzebnych” organach

Do najczęstszych, najpopularniejszych — rzecz można — zabiegów chirurgicznych należą od pewnego czasu operacje wycięcia (względnie „wyluszczenia”) migdałków oraz wyrostka robaczkowego.

Zdania lekarzy co do znaczenia tych organów są podzielone. W szczególności co się tyczy wyrostka robaczkowego, to uważa się go powszechnie za „organ szczątkowy”, zupełnie niepotrzebny, a mogący stać się łatwem źródłem groźnej choroby. Wycięcie tegoż uchodzi zatem za zabieg dla organizmu ludzkiego nieszkodliwy, a mający niejako wartość prewencyjną.

Czy tak jest w istocie? Ciekawe światło na to zagadnienie rzucają przeprowadzone świeżo doświadczenia na królikach, którym operacyjnie usunięto ten wyrostek.

Zwierzęta zoperowane przez jakiś czas chudną, — następnie jednak przybierają z powrotem na wadze i przychodzą zupełnie do siebie. Dowodziłoby to, że operacja nie przyniosła im żadnej trwałej szkody.

Po zabiciu jednak takiego zoperowanego królika dostrzec można we wnętrznościach jego ciekawe zmiany anatomiczne i histologiczne. Oto tzw. ślepa kiszka, od której właśnie odgałęzia się ów wyrostek robaczkowy, ulega znacznemu zgrubieniu, ściany zaś jej, badane pod mikroskopem, wykazują znaczny przerost (hipertrofię) tkanki limfatycznej.

Szczegóły te nabierają właściwego znaczenia, skoro uprzytomnimy sobie, że właśnie wyrostek robaczkowy zawiera stale tkankę limfatyczną w bardzo znacznej ilości. A znana nam jest doskonale rola tej tkanki w organizmie ludzkim, jako producentki białych ciałek krwi, owych prawdziwych „łowców mikrobów”, broniących organizmu przed infekcją.

Nasuwa się tu więc prosty, a logiczny wniosek: natura sama naprawia szkodę, wyrządzoną przez człowieka. Gdy zabrakło wyrostka robaczkowego, — ślepa kiszka przejęła jego funkcję; wyraża się to przerostem tkanki limfatycznej, dzięki czemu powstała z powrotem owa bariera, chroniąca organizm przed infekcją, — i to w miejscu leżącym w najbliższym sąsiedztwie usuniętego organu.

A czyż można choć na chwilę przypuścić, aby podobne zmiany w budowie histologicznej ślepej kiszki były rzeczą tylko przypadku, by nie wytworzyły się one tylko dlatego, że sama natura uważa je za celowe i konieczne?

Doświadczenia te, przeprowadzone przez wybitnego fizjologa, dr. Portier, każą nam zrewidować dotychczasowe nasze poglądy na wyrostek robaczkowy, jako „organ szczątkowy i zbędny”.

Nie tak to dawne czasy, kiedy najznakomitsi anatomowie określali tak samo i tarczycę jako organ szczątkowy i niepotrzebny. Jeszcze w r. 1835 pisał

dr. Brachet: „Tarczycy nie możemy uważać za jeden z organów właściwych rodzajowi ludzkiemu, lecz za organ szczątkowy skrzeli ryb”...

A dziś zdajemy sobie znakomicie sprawę, jakie ogromne znaczenie ma owa tarczycza w rozwoju nie tylko fizycznym, lecz i umysłowym człowieka.

Podobnie rzecz się ma z hypophysis, której rola w organizmie znana jest za ledwie od kilkudziesięciu lat.

Kilka tych przykładów wystarczy, by dojść do wniosku, że niema wogóle żadnych organów zbędnych, — że przeciwnie, w organizmie naszym istnieje nadzwyczajna harmonia wszystkich bez wyjątku jego części składowych, harmonia, której bezkarnie gwałcić nie wolno, — chyba w razie koniecznej potrzeby.

Gdy operacja jest nieunikniona, dając jedyną możliwość ratunku, nóż chirurga narusza tę harmonię i trzeba dłuższego lub krótszego czasu, zanim sama natura postara się o przywrócenie równowagi.

Zasadniczo jednak obowiązkiem naszym jest „zostawić naturę w spokoju”, pamiętając o tem, że człowiek jest niedoskonałym tworem Stwórcy. I jeżeli dotychczas nie zdołaliśmy zrozumieć i pojąć celowości jakiegoś organu, — przyczyny tego szukajmy w niedoskonałości naszego umysłu, który pomaga tylko i z trudem ogarnia tajemnice natury i stworzenia

Polowanie na promienie kosmiczne

Podejmowane od pewnego czasu coraz częściej wyprawy uczonych badaczy do stratosfery, nasuwają się fakty pytanie, jaki jest ich cel właściwy, czego szukają ci uczeni na tych zawrotnych wysokościach.

Wyprawy te można krótko scharakteryzować jako „polowanie na promienie kosmiczne”, stanowiące dotychczas jedną z niezbadanych tajemnic przyrody.

Promienie kosmiczne odkryte zostały w roku 1909 przez profesora Hessego Austriaka z pochodzenia. Badając kolejno najwybitniejsi fizycy, jak Millikan, Compton, Lemaitre, Vallarta, stawiając rozmaite hipotezy co do ich źródła, intensywności, kierunku, składu i t. p.

Wszystkie te hipotezy jednak nie dają dotychczas zadowalniającego wyjaśnienia. Zostawiając tedy tę kwestię na uboczu, omówimy tylko pokrótce istotę tych promieni i stosowane metody eksperymentalne, pozwalające stwierdzać ich istnienie i działanie.

Jak wiadomo — i o czym pisaliśmy niedawno na tem miejscu — każda materia składa się z atomów. Te ostatnie znowu składają się z jądra, naładowanego elektrycznością dodatnią, dokoła którego krążą fragmenty naładowane elektrycznością ujemną, zwane elektronami.

Otóż, atomy te, pod wpływem pewnych czynników jak: wyładowania elektryczne, promienie ultra - fioletowe, promienie alfa i gamma, podlegają tzw. „jonizacji”, wyrażającej się rozpadem jądra atomu, z przewagą elektronów dodatnich lub ujemnych.

Wszystkie te czynniki powodujące „jonizację” atomów posiadają stosunkowo słabą energię, a w ślad za tem i zdolność przenikania: wystarczy płyta ołowiana grubości dwóch centymetrów, by działanie ich zupełnie zneutralizować.

Mimo jednak tego rodzaju izolacji stwierdzić można wytwarzanie się jonów pod działaniem innych potężnych czynników, tak potężnych, że przenikają płytę ołowianą grubości 1 metra.

Czynnikami tym są właśnie promienie kosmiczne, płynące nie z jakiegokolwiek substancji istniejącej na kuli ziemskiej, lecz z przestrzeni międzyplanetarnych. Jak wykazały doświadczenia Kolhostera, siła tych promieni wzrasta w miarę wznoszenia się w coraz wyższe regiony atmosfery. To samo już dowodzi niewątpliwie ich pozaziemskiego pochodzenia, — tłumacząc równocześnie niesłychaną trudność ich chwytania i dokładniejszego zbadania.

Przejdźmy teraz do praktycznej strony całego zagadnienia. Stwierdzonem zostało, że przynajmniej w obecnym stanie nauki — promienie kosmiczne uważać można niejako za jedyny instrument laboratoryjny, umożliwiający „rozbijanie atomów”.

Że zaś przy „jonizacji” atomów, pod działaniem tych właśnie potężnych promieni, wytwarza się olbrzymia energia elektryczna, nie dająca się po prostu określić cyfrowo, — zatem nie dziwnego, że dążeniem uczonych jest opanowanie i odpowiednie wyzyskanie tej energii. Z chwilą, gdyby to się stało nastąpiłby po prostu przewrót, jakiego najbardziej wyobraźnia wyobrazić sobie nie zdoła. Ludzkość zdobyłaby niewyczerpane źródło energii, idące w miliardy kilowatów; podróże w stratosferze stałyby się rzeczą codzienną o

ile wynalezionoby odpowiednie kompresory, — nawet podróż na księżyc przestałaby uchodzić za nieiszczalną fantazję.

Pod tym kątem widzenia wyprawy w stratosferę przestają być tylko teoretycznym eksperymentem, nabierając właściwego znaczenia.

Zanim do tego dojdzie, — uczeni konstruują niesłychanie skomplikowane przyrządy, prawdziwe „pułapki”, pozwalające chwycić promienie kosmiczne i określać ich intensywność.

Najdoskonalszą tego rodzaju pułapką jest urządzenie, zmontowane niedawno w słynnym laboratorium w Cambridge przez fizyków Blacketta i Occhialini'ego.

Polega ono na połączeniu tzw. „wilgotnej komory” (powszechnie w świecie uczonym znanego wynalazku C. Wil-

sona, ulepszonego przez japońskiego uczonego Szimizu) z „licznikiem Geigera”.

Nie wchodząc w szczegóły zaznamy, że „wilgotna komora” jest cylindryczną skrzynką o ruchomym dnie, napełnioną wilgotnym gazem. Przez nagłe cofnięcie dna wywołujemy rozprężenie tego gazu, a jeżeli w tym samym momencie przenika do wnętrza komory promień kosmiczny, — pozostawia on po sobie widzialny ślad w postaci delikatnej mgły, kondensującej się dokoła tworzących się jonów. Ślad ten można, przy odpowiednim oświetleniu, uchwycić na płycie fotograficznej.

Licznik Geigera składa się z metalowej rurki, o wysokim napięciu (1000 do 2000 wolt), zawierającej gaz pod małym ciśnieniem. Skoro gaz ten podamy działaniu promieni jonizujących

wyswobodzone jony powodują małe wyładowania elektryczne. Powstaje prąd, który przechodzi przez amplifikator, dzięki czemu można go dokładnie skontrolować i obliczyć.

Jedyną wadą licznika Geigera jest, iż reaguje on jednak na wszystkie czynniki jonizujące, a więc nie tylko na promienie kosmiczne. Celem uzyskania koniecznej selektywności kombinuje się zatem „wilgotną komorę” z trzema licznikami, opatrzonymi w grubą metalową płytę, poprzez które tylko promienie kosmiczne zdolne są przenikać.

Dotychczasowe doświadczenia przeprowadzone z pomocą tych instrumentów nie dały jeszcze zadowalniających wyników. W każdym jednak razie posunęły już całą sprawę znacznie na przód i pozwalają mieć nadzieję, że tajemnica promieni kosmicznych przed czy później zostanie wyjaśniona.

(R.)

Niemców zwyciężyło — radio Nieznane czyny bohaterskie wieży Eiffla

Będąc w Paryżu nie można nie zobaczyć wieży Eiffla. Jest ona wszędzie obecna ale wszędzie inna, zależnie od tego z jakiego miejsca się ją ogląda i o jakiej porze dnia i nocy. Z daleka, w dzień pogodny, to pączęzna ryzykowna nie nad miastem rozpięta. Z bliska to cztery olbrzymie kończyny apokaliptycznego potwora zasłaniające sobą małą i odległą jego głowę. Patrząc poprzez te rozstawione szeroko stopy widać z jednej strony rozłożone pięknie terasy i dziwacznie orientalne kształty Trocadera, z drugiej zaś rozległe trawniki, aleje i ulice Pola Marsowego. W nocy wieża rozbłyska światłami, sygnałami, reklamami jak płomienisty rysunek nad ciemnością nocy pozostającą w ustawicznej walce z milionowymi światłami olbrzymiego miasta.

Ale wieża Eiffla, to nie tylko widok, nie tylko cel wycieczek, nie tylko obszerne restauracje ale i stacja radiowa, najpotężniejsza we Francji. Szumy i zgrzyty idą wzdłuż potężnych wiązań wieży, głosy rozchodzą się na cały świat, ale sama wieża skromnie milczy. Gdyby mogła przemówić i opowiedzieć coś ze swoich własnych dziejów, toby napewno pochwaliła się rolą, którą odegrała w czasie wielkiej wojny światowej. Wieża Eiffla bowiem wraz ze znajdującą się na niej stacją należy się order i to nie byle jaki.

Już w roku 1916, a więc w samym środku wojny, pojawił się w paryskim dzienniku „Figaro” artykuł p. t. „Prawdziwy zwycięzca z pod Marny”. Zwycięzcą tym była — wieża Eiffla a więc nie Joffre nie Gallieni, nikt inny z plejady wielkich i świetnych wodzów ale właśnie ten żelazny olbrzym powołany do życia przez wielką wystawę światową w roku 1900.

Generał francuski Cartier, szef służby łączności w czasie wojny, dzisiaj sprawujący pokojowe zgoła funkcje dyrektora paryskiego „Radio - Magazine”, udziela w wywiadzie szeregu szczegółów w sprawie roli odegranej przez wieżę Eiffla w czasie wojny.

Dzięki wieży i jej stacji można było ustawicznie śledzić posuwanie się armii niemieckiej poprzez Francję i informować o tem natychmiast naczelnego dowódcę two armii francuskiej.

Już przed wojną radio francuskie umiało odczytywać emisje stacji nie-

mieckich w Metz, Strassburgu, Kolonii. W ten sposób francuscy specjaliści radiowi mogli łatwo odczytać pierwsze radiogramy nadawane przez wojskowe stacje niemieckie. Telegramy te przeważnie były szyfrowane, ale znajdowały się w nich i słowa nieszyfr. przeważnie nazwy geograficzne. Zdarzały się jednak i radiogramy zupełnie nieszyfrowane, zaopatrzone w podpis wysyłającego. Był to wielki błąd popełniony przez niemiecką służbę łączności.

Dzięki temu dowództwo francuskie dowiedziało się natychmiast, że gen. von Marwitz dowodził korpusem kawalerii oznaczonym literą S., a generał von Richtofen dywizją korpusu oznaczoną literą G. Dzięki przejętej depeszy radiowej dowiedzieli się również Francuzi, że dwie dywizje kawalerii niemieckiej wkroczyły do Woevre. Wiadomości te dostawały się równocześnie do wiadomości głównego dowództwa francuskiego jak i niemieckiego. Podobnie dowiadawali się Francuzi o ataku na Belgię, o przekroczeniu północnej granicy francuskiej i o marszu na Paryż.

Dzięki tym przyjętym telegramom dowództwo francuskie orientowało się znakomicie w składzie i ruchach poszczególnych, armij, korpusów i mniejszych oddziałów niemieckich: pierwsza armia von Kluck; II armia, drugi korpus kawalerii, generał von Marwitz i t. d.

2. września 1914. w pełnym toku bitwy pod Marną, główna kwatera francuska dzięki wieży Eiffla dowiedziała się o ruchach prawego skrzydła zagrażającej Paryżowi armii von Klucka. Wszystkie rozkazy tak von Klucka jak i niemieckiego następcy tronu w chwilę po wydaniu znajdowały się na biurkach wodzów francuskich.

7. września o 11 m. 15 wieża Eiffla informowała, że Włochy rozpoczynają odwrót. Pierwsza armia niemiecka — tak brzmiała treść przejętej depeszy — domaga się natychmiast wysłania posiłków. „Interwencja korpusów 3 i 9 nad rzeką Ourcq musi nastąpić natychmiast” brzmiała prośba zaniepokojonego w najwyższym stopniu niemieckiego dowódcy. Tego samego dnia o godzinie 14-tej radio 3-ciej armii niemieckiej donosi: „Cesarz opuszcza 3 armię i wraca do Luxemburgu. — 9. września o 15.15 wieża Eiffla przejmie pierwszy rozkaz niemiecki nakazujący odwrót. 10 września o 7.45 główne dowództwo niemieckie

zarządza ogólny odwrót. Z jakim wzruszeniem obsługa wieży Eiffla odczytywała pierwsze iskrowe słowa szefa sztabu von Moltkego: „Do armii niemieckiej... cesarz zarządza...” był to rozkaz w którym Wilhelm II. powstrzymał pochód na Paryż.

Z ogromnej roli radia francuskiego zdawali sobie sprawę nie tylko Francuzi, co było rzeczą oczywistą, ale i Niemcy. Rywal generała Cartier po stronie niemieckiej, pułkownik Nicolai, szef niemieckiej służby łączności, przyznał wyraźnie, że radio wojskowe francuskie uzyskało przewagę nad swoim niemieckim rywalem.

Niewątpliwie i w czasie nowej wojny zarówno radiotelegrafia jak i radiofonja odegrałyby ogromną rolę i wyzyskałyby wszystkie postępy i wynalazki, które poczyniono w tej dziedzinie. Używano by maszyn szyfrowych, maszyn odczytujących szyfry, maszyn, które utrudniają emisję przeciwnika i przeciwdziałają im...

Na razie radio francuskie po pewnym okresie zastoju przystępuje do nowych prac, pragnie się wydoskonalić. We Francji, jak wiadomo, nie istnieje monopol państwowy na radio, ale wpływy państwa w tej dziedzinie ustawicznie wzrastają. Wykupuje się prywatne stacje, tak, że obecnie znajdują się tylko dwie wielkie prywatne stacje — jedna z nich jest Poste Parisien, będący własnością największego dziennika we Francji i na świecie, „Le Petit Parisien”; radio Toulouse, będące własnością wielkiego tamtejszego dziennika „Depeche de Toulouse”.

Równocześnie buduje się nowe wielkie stacje radiowe a więc koło Paryża stację Villedon i cały szereg innych nowych stacji w Nicei, Marsylii, Lyonie, Tuluzie o sile 60 — 120 kw. Jednym słowem wieża Eiffla otrzymuje godne sobie koleżanki i nie będzie się mogła uskarżać na bezrobocie ani na zapomnienie.

(S.)



Chcesz odbyć
podróż
tanie - szybko -
wygodnie?
Leć samolotem!

